

WIESŁAWA KŁĘBUKOWSKA

ur. 1933; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Ziemiaństwo na Lubelszczyźnie. Wirtualna podróż w czasie, codzienność w PRL, Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL, dzielnica Kalinowszczyzna, ulica Wiejska, ulica Wiejska 8, rodzina i dom rodzinny, rodzina Drzymulskich, rodzina Mroczkowskich, dzieciństwo, majątek ziemski Koryznów, majątek ziemski, Ponikwoda, dwór Koryznów, ulica Marii Koryznowej, wywłaszczenie ziemian, okupacja majątku ziemskiego, żołnierze radzieccy, żołnierze rosyjscy, Wielkanoc, rodzina Kłębukowskich, ulica Sienna, przemarsz Żydów przez Kalinowszczyznę, Żydzi, szkoła pani Gogaczowej, mieszkanie w PRL, budownictwo w PRL

Nazywam się Wiesława Kłębukowska. Jestem córką Konstancji z Drzymulskich i Jana Kłębukowskiego. Urodziłam się w marcu 1933 roku, przy ulicy Wiejskiej 8, gdzie stał dom mojej babci Konstancji. Dom był posadowiony w bardzo pięknym ogrodzie –to był duży ogród, około dwóch tysięcy czterystu metrów. Mieszkałam tam do 1969 roku, kiedy nas wywłaszczono. Właściwie to nie powinnam mówić „wywłaszczono” bo to „wywłaszczenie”to było, można powiedzieć, ograbienie ludzi z ich własności. Dlaczego mówię, że ograbiono? Bo za metr ziemi w Lublinie zapłacono nam równowartość litra mleka i jeszcze tych pieniędzy nie wypłacono od razu tylko musieliśmy pisać podanie do Ministra Finansów, żeby był uprzejmy w jakichś tam ratach nam wypłacić tę należność. Musieliśmy sobie właściwie kupić wszystko, bo żaden mebel tu się nie mieścił, a w porównaniu z tym co mieliśmy, to wszystko było byle jakie. W domu [mieliśmy] meble dębowe, nie wszystkie dało się rozkręcić, część musieliśmy oddać, przekazaliśmy znajomym na wieś. Nie był to czas, kiedy ludzie kupowali antyki, teraz na pewno byłyby to ładne pieniądze, a po prostu oddaliśmy je za darmo. Za tę zaliczkę od Ministra Finansów kupiłam karnisze do okna, żyrandol i chyba wersalkę. To było wszystko co mogłam [kupić] za tę pierwszą ratę.

1. Byliśmy sąsiadami państwa Koryznów

Mogę powiedzieć, że byliśmy sąsiadami dworku Koryznów. Tutaj jest zdjęcie, kiedy

ten dworek już nie był zamieszkały przez państwa Koryznów. Pamiętam doskonale ostatniego właściciela, to były czasy okupacji. Nie pamiętam jego imienia, ale to był pan, którego kojarzyłam zawsze ze Świętym Mikołajem, ponieważ miał białą, długą brodę i chodził taki elegancki. Tak przynajmniej mnie się wydawało jako dziecku. Nie pamiętam [jego] żony, ale pamiętam córkę. Państwo Koryznowie z tego, co [sobie przypominam], mieli dwóch synów i córkę. Córka, panna Ola miała piękne warkocze, ale to była dziewczyna-chłopak. Dla niej nie było problemu sięść na furmankę, powozić końmi i bardzo często widziałam, jak ona tymi końmi powoziła. We dworze była gospodyni, chyba Pani Władzia. Pani Władzia to była taka spokojna pani, odwiedzała moją babcię. To były czasy kiedy panie się wymieniały robótkami, wzorami, a moja babcia to rzeczywiście była artystka, jeżeli chodzi o rękodzieło, co potem mojej mamie przekazała. Z Panią Władzią wymieniały różne wzory, szczególnie chodziło o roboty na drutach albo na szydełku, bo z tego co pamiętam, to babcia nie haftowała. Czasem babcia mnie wysyłała do niej –nie wiem po co, ale wtedy mogłam zobaczyć jak wygląda kuchnia w tym dworku. To był raczej niski budynek otoczony pięknymi lipami, ale na wysokiej górze i z tego dworku była piękna panorama na cały Lublin. Były dwa ganki, frontowy od strony południowej, gdzie były te piękne lipy i drugi, gdzie się wchodziło. Właściwie to każdy wchodził tamtędy od strony zabudowań gospodarczych. Zabudowania gospodarcze, jak sobie przypominam, to były obory i ogromna stodoła. Nie wiem, co było na środku, ale nic eleganckiego w każdym razie, bo w sąsiedztwie tych obór pachniało tak nie bardzo [przyjemnie]. Oprócz tego, że było tam bydło właściciela, pana Koryzny, to również fornale mieli tam swoje krowy. Wydaje mi się, że po jednej krowie to na pewno mieli, czy więcej –tego nie potrafię powiedzieć. Przy tych oborach fornale mieli takie, trudno powiedzieć, że ogródki, ale grządki jakieś. Rosła tam marchewka, jakieś buraczki, ale to nie było nic takiego, co na przykład mogłam porównać z ogrodem mojej babci. Coś tam rosło, coś tam ci ludzie mieli, ale niewiele. To było na samej górze i z tej góry jeden z synów fernali jeździł do źródła, które jest w tej chwili nieczynne, a było na terenie obecnych ogródków działkowych pod samą skarpą. Tam płynęła piękna woda i stamtąd on tę wodę przywoził. Nabierał w taką dużą beczkę i przywoził do dworu, do państwa Koryznów. Nie widziałam jak on to robił, ale jak byłam u Pani Władzi w kuchni, to widziałam tę beczkę. To była woda przeznaczona do wszystkiego, co było w gospodarstwie tych państwa Koryznów. Bo oprócz tego woda była pobierana ze studni w pobliżu czworaków. Studnia była na korbę i jak trzeba było poić krowy, które pędzili z łąk –łąki to obecne ogródki działkowe –to kobiety wybiegały, nabierały wodę w wiadra i poily te krowy –i te swoje, i te dworskie.

2. Czworaki, to było coś egzotycznego

Kolegowałam się z taką dziewczyną, Stasią. To była moja starsza koleżanka, z bardzo porządnej rodziny, ale mieszkająca w czworakach. Jak wyglądały czworaki? To było coś egzotycznego. Czworaki, wiadomo, to są budynki, w których mieszkają

cztery rodziny. I rzeczywiście tak było, mieszkały cztery rodziny. Z tym, że tam w tych mieszkaniach nie było podłogi. Była normalnie polepa, tak to się nazywa, ubita ziemia. Ale tam, gdzie chodziłam do tej mojej koleżanki to było czysto, mimo, że takie warunki były, bo tam i kura chodziła po mieszkaniu i piskłęta. To śmieszne, bo ja byłam może takie dziwadło, że wszystkiego się bałam, wszystkich stworzeń i jak ta kura przechodziła bliżej, to się bałam, że mi wydziobie coś w nodze. Była jedna izba, gdzie na łóżku spała babcia, pamiętam, że miała taką pierzynę w kratę. Były kuchnie, takie z okapami, jakie na wsiach jeszcze bardzo długo widziałam i tam się gotowało. W okresie zimowym ogrzewanie szło tylko z tej kuchni, więc żeby było ciepłej, to okna były zalepiane gliną. Powietrze było duszne, ale jak się ktoś przyzwyczaił to mu widocznie nie przeszkadzało. Więc te kury tam chodziły po mieszkaniu, ale było czysto. W ogóle to byli porządni ludzie, poza jedną rodziną, do której mieliśmy jakieś tam obiekcje, ale to byli spokojni ludzie. Nie były to rodziny bardzo dzietne. Z tych, co ja znałam to było dwoje, troje dzieci. Ale była taka rodzina, nie wiem dlaczego oni byli biedniejsi od wszystkich, że jak była zima to przy drzwiach do sieni, bo to sień była taka na przestrzał, stały jedne buty i te dzieci wkładały te buty i biegły do ustępu, żeby po prostu nie biec bosy. Nie widziałam tego nigdzie, tylko w jednym tym mieszkaniu. Poza tym w tym budynku od strony północnej mieszkał również rządca. Nie będę mówiła nazwisk tych fernali, bo może tego ktoś nie chce. Teraz wśród [dzieci] tych fernali jeden jest prokuratorem, drugi jest majorem, może nie przyznają się do tego, [zresztą] to nie jest istotne. Rządca to już miał mieszkanie takie przyzwoite. To było takie mieszkanie jak mieli mieszkańcy Kalinowszczyzny, tak bym powiedziała. Tam była i podłoga, i był piec, to było zupełnie inne mieszkanie. Ale blisko tych czworaków, od strony północnej były jeszcze chlewy. Chlewy, w których ci fernali trzymali swoje świnie, bo oni też mieli swoje świnie. Co oni potem z nimi robili, to [nie wiem], byłam za mała, żeby się tym interesować. Ale co ciekawe, była jeszcze jakaś danina, oni chyba nazywali to „ordynaria” Jesienią przed samym czworakiem kobiety wykładały płachty takie lniane i na tych płachtach suszyły zboże, ziarna zbóż, to zboże było wymłócone. Co one potem z tym robiły, czy gdzieś wozily do młyna, [nie pamiętam].

3. Koryznowie to byli ogromni społecznicy i wielcy patrioci

Chciałabym bardzo dużo powiedzieć o samych Koryznach. Wiem z opowiadania mojej mamy i babci, że to byli ogromni społecznicy i wielcy patrioci. Babcia mi opowiadała, że chyba matka ostatniego Koryzny była fundatorką tak zwanej ochronki. Ochronka to był sierociniec i tą ochronką, w sensie finansowym i nie tylko, opiekowała się rodzina Koryznów. Rodzina Koryznów również ufundowała dom starców. Pamiętam ten dom jeszcze. Wydaje mi się, że w tym miejscu są w tej chwili prowadzone poszukiwania archeologiczne. Oprócz tego, że Koryznowie opiekowali się tym domem, to ci ludzie mieli jeszcze tam swoje bydło, krowy. Jak myśmy się tu sprowadzili, to widziałam, że taki pan, który mieszkał w tym domu starców –kaleka,

miął paraliż ręki i nogi –pasał te krowy właśnie tu w naszym wąwozie, który jest tutaj za oknem. Ja go pamiętam. Później się dowiedziałam, że oprócz tego rodzina Koryznów, jak mi opowiadała moja mama, zorganizowała wielu ziemian w tak zwanej radzie opieki. Rada Główna Opieki [Rada Główna Opiekuńcza], RGO to się nazywało. Ci ziemianie organizowali pomoc dla wojska, szczególnie dla oficerów w oflagach. W jakiś sposób to robili, mieli kontakty, wysyłali [pomoc] przez Czerwony Krzyż, musieli też mieć zgodę władz okupacyjnych. Ale, że w tych oflagach mieli inne warunki, jak w obozach tych jenieckich na wschodzie no to jest oczywiste. Poza tym ktoś z rodziny Koryznów, pewnie matka, a może i babka ostatniego Koryzny całą Ponikwodę przeznaczyła na działki, na parcele, [które] ludzie kupowali pod swoje domki. Dlatego tam powstała ulica Marii Koryznowej i bardzo się cieszę, że uszanowali ją tą nazwą, bo ona na pewno sprzedawała to nie w jakichś kosmicznych cenach, żeby sobie okoliczni mieszkańcy mogli kupić tam działki i budować domy. Nawet wielu ludzi, którzy pracowali w garbarniach na Kalinowszczyźnie tam sobie pokupowało i postawiło te domki. Domki, bo w porównaniu z tym, co teraz tam się dzieje na Ponikwodzie to były domki skromne, ale ładne. Teraz tam są pałace, niektóre przez Romów budowane, więc już bardzo wystawne, ozdobne.

4. Wyzwolenie i wywłaszczenie majątku Koryznów

Dworek Koryznów stał na wzgórzu, gdzie teraz stoi budynek spółdzielni mieszkaniowej, taki taśmowiec. Jak jedzie się ulicą Andersa, to po prawej stronie jeszcze chyba jest fragment starej lipy. W czasie, kiedy Sowieci nas wyzwolali usadowiono tam katusze. [Ze względu na] położenie tego dworku mieli bardzo duży teren do ostrzału. Później, kiedy front przychodził ze wschodu, ktoś powiedział nam, że Lublin jest zaminowany i trzeba uciekać. Więc zebraliśmy się wszyscy całą rodziną naszą, ponieważ i wujek też mieszkał w tym domu po drugiej stronie, i uciekliśmy. Zostawiliśmy dom zamknięty na klucz, ale jak przyszliśmy to już nie mieliśmy gdzie mieszkać, ponieważ rosyjski sztab wojskowy zajął nam mieszkanie. Mówimy, że my tu mieszkamy. –„Możecie w kuchni mieszkać” I było spanie na podłodze. Po jakimś czasie, to był dopiero początek wyzwolenia, ale już nie było Koryznów, cały sztab przeniósł się do dworku Koryznów. Od nas zabrali ten stół, o którym mówiłam, że się nie mieścił potem nigdzie, dębowy, ogromny, zrobiony przez mojego dziadka. Zajęli [dwór] i tam cały ten sztab był, dopóki front się nie przeniósł w stronę Wisły. Oczywiście, jak żeśmy przyszli to oprócz tego, że sztab był w domu, to bardzo dużo rzeczy już w nim nie było. Po prostu ograbili nas, nie wiem kto, trudno powiedzieć. Jakiemuś złodziejowi spodobał się zegar ścienny. Ładny, taki duży zegar bijący, ale nie dał rady go dźwignąć i schować, więc [zegar] odnalazł się u sąsiadów w ogrodzie. Potem sami przynieśliśmy ten stół, który tam oni zostawili. W stół były powbijane gwoździe, co oni wieszali na tych gwoździach, nie wiem. Muszę powiedzieć, że był bardzo porządny dowódca z tego [Rosjanina], ale to okazało się potem, jak z mamą rozmawiał. To był człowiek z zachowania przyzwoity, jakiś

profesor akademii rolniczej. Znał naszą literaturę, a mnie bardzo rozśmieszał kiedy mówił do mojej mamy: „Konstancjo Ludwikowno” Nie mogłam pojąć co to jest, a to otczestwo [imię odojcowskie]. Potem już się nauczyłam troszkę rosyjskiego, to wiedziałam, że taki mają obyczaj. Potem musieliśmy oddać znów kuchni dla jakiejś frontowej rodziny, nie wiem czego sobie nasz [dom] upodobali, to nie był wcale ekskluzywny budynek. Jak dokładnie wyglądała sprawa wywłaszczenia [majątku Koryznów], nie wiem. Słyszałam na spotkaniu, że szczególnie przez Bieruta ono było nadzorowane, że to w jakiś szczególny sposób miała ta parcelacja wyglądać. Z tego co mi opowiadali, to ten majątek nie podlegał [wywłaszczeniu], bo nie miał takich obszarów, które by podlegały parcelacji. No, ale to był dziedzic. Poza tym podobno gdzieś pod Warszawą, tak mi mama mówiła, jeszcze mieli ziemię, więc jak to skomasowali, to uznali, że trzeba ich wywłaszczyć. Zabrali im ziemię i podzielili między fernali. Fornale, choć nie wszyscy, pobudowali tam sobie domki. Te domki były, nie wiem czy to jest możliwe –bo jak to było [robione], czy to było wylewane –ale ja sobie kojarzę, że ściany były budowane z żużlu. W każdym razie były skromne, ale już swoje, więc dla nich to była radość. Postawili sobie [dom] na swoim kawałku ziemi, który dostali z reformy rolnej. Potem przyszedł czas, kiedy trzeba było tych ludzi wywłaszczyć i zabrać im to pod Spółdzielnię Motor. Wyobrażam sobie, że ci ludzie musieli przeżyć dramat. Najpierw państwo dało: „Macie, widzicie jaka władza ludowa jest dobra” a teraz im państwo zabrało. Zabrało pewnie na takich samych warunkach, jak i nam, więc to były grosze. Część dzieci tych fernali zajęła mieszkania w tym dworku, dwie rodziny. Ale to już wyglądało żałośnie, powiedziałabym. Jakoś tak to było poprzegradzane, podłoga była zrobiona z klepek, pomalowana farbą. Takie to było przykre. Ale taki był czas i taki był los tych ludzi. Teraz mieszkają już w spółdzielni na pewno. Jedna z sąsiadek z tego czworaka mieszkała tu w moim budynku. Słyszałam, opowiadano potem takie historie, że pan Koryzna bardzo chciał na stare lata być w Lublinie. Do swojego dworu już nie mógł wrócić, bo go nie było i gdzieś tam kątem u kogoś [mieszkał], ale powiedział, że w Lublinie chce być. Ale może to jest jakaś bajka. W każdym razie na cmentarzu na Kalinowszczyźnie jest grobowiec rodzinny Koryznów. Napisane jest: „Grób rodzinny Johnów i Koryznów” Żona któregoś z Koryznów pochodziła z rodziny Johnów, to jakieś angielskie nazwisko. Tam są pochowani. Ostatnio zamontowano tablicę z nazwiskami Koryznów i z wszystkimi pseudonimami od czasów powstań: powstanie listopadowe, powstanie styczniowe. Jest zaznaczony ich udział. Więc to byli patrioci, powiem to górnolotnie, ale trzeba pamiętać o takich ludziach, którzy walczyli o tę Polskę, żeby była wolna.

5. Jako dzieci bawiliśmy się na terenie majątku Koryznów

Panna Ola przychodziła do mojej babci, lubiła ją. Moja babcia w ogóle była lubiana przez sąsiadów. Siadała na ławeczce z babcią i babcia jej różne rzeczy opowiadała, więc lubiła też i słuchać. A to była taka pani postawna, wysoka. Pamiętam, miała takie warkocze bardzo długie, była miła, taka energiczna, ale to nie była „panienka z

[dobrego] domu” tylko jak taki chłopak. Bo poza tym oni byli, że tak powiem, gospodarzami. Dwór był posadowiony na wzgórzu i całe zabudowania gospodarcze też. Więc z tamtej strony właśnie od tak zwanego podwórza, my jako dzieci organizowaliśmy sobie zjazdy sankami. Dziedzic się nie denerwował, ale denerwowali się ci fornale, że im takie ślizgawki robimy. Chociaż przecież takimi sankami dziecinnymi nie mogliśmy wyślizgać drogi, ale to im się nie podobało. Myśmy tam jeździli sankami i potrafiliśmy [zjechać] aż do samej Kalinowszczyzny. Jak się dobrze rozpędziło na tych sankach, to aż tam potrafiliśmy zjechać. Ale jak była zima to myśmy do domu musieli sobie odśnieżać tunel. Dosłownie. Tylko głowy było nam lekko widać z tego tunelu. A żeby oni mogli wyjechać stamtąd, to pan Koryzna organizował odśnieżanie. To wyglądało tak, że dwie deski były złączone, konie to ciągnęły i ten śnieg był tak rozpychany. Pamiętam to, bo dla mnie to było bardzo ciekawe. I tak do samej Kalinowszczyzny, bo na Kalinowszczyźnie to już było zupełnie inne życie. Gospodarze tam też jeździli sankami. Pamiętam, że jeszcze w czasie okupacji przyjeżdżali sankami. A jak była Wielkanoc, było ciepło, to ludzie z okolicznych wsi jechali do kościoła. Ja to do dzisiaj pamiętam, stukot tych kopyt i stukot tych furmanek. Furmanki miały takie obręcze metalowe, więc to o te kocie łby było takie stukanie. Zawsze [było wiadomo], że już jadą ludzie na rezurekcję. Oczywiście ja też chodziłam z rodziną na rezurekcję, ale to było takie bardzo charakterystyczne, taki ogromny spęd, bo do tego kościoła, do parafii Świętej Agnieszki należały okoliczne wioski. To była Wólka, to była Jakubowice, Trześniów. To były te wszystkie okoliczne wioski, które teraz mają swoje kościoły. Nie pamiętam, od którego roku była tu parafia, bo wszyscy moi protoplaści byli zapisywani w aktach parafii Świętego Mikołaja na Czwartku.

6. Życie we dworze Koryznów

Nie pamiętam pokojówek [u Koryznów]. Była za to gospodyni, Pani Władzia. To w ogóle nie była duża rodzina. Przyjeżdżała tam też jakaś kuzynka, która miała takie zapędy wielkopańskie. Przynajmniej dzieci mówiły, że przeganiała ich, jak to dzieci. Może zaglądały przez okno, bo ten dworek nie był ogrodzony płotem, więc uważała, że to jakaś dzicz. Nie pamiętam żadnych pokojówek, ale wiem, że był podział funkcji wśród tych fernali. W sensie takim gospodarczym to nie było taki duży teren, więc może im tych ludzi wystarczało. Jak przychodziłam do czworaków i byłam we dworze, to nie słyszałam żeby ktoś mówił, że to są jacyś wyzyskiwacze, że ludzi źle traktują. Jako dziecko słyszałam, co prawda, że rządca był taki rygorystyczny, jak ktoś gdzieś tam wszedł w zboże albo zniszczył coś. Ale tak to nie słyszałam, żeby mówiło się nawet w domu –bo czasem dziecko coś podsłuchało, że coś tam się dzieje źle. I odkąd ja pamiętam to były te same rodziny, raczej spokojni ludzie. Nie można powiedzieć, że tam jakieś awantury się działy, nie. Z panem Koryzną ja, jako dziecko, to cóż ja mogłam porozmawiać. Ale pamiętam właśnie, że to był taki poważny pan. Najbardziej to tę brodę zapamiętałam białą. [Jego] synów mało pamiętam, bo gdzieś,

w jakiejś szkole się uczyli. Pamiętam jednego z nich, miał takie charakterystyczne zrośnięte brwi. Potem ktoś powiedział, że pewnie tragiczny los go czeka, taki był przesąd. Podobno gdzieś pod Warszawą mieli większy majątek, ale wydaje mi się, że jak na dziedziców, to bardzo skromne było to ich życie. Może tam w drugim dworze pod Warszawą, ale tu nie, tu było skromnie, żaden pałac. To był po prostu dworek, w którym się mieszkało i ja bym na przykład uważała, że takie raczej ciemne były te [pokoje], okna były takie nieduże, a kuchnia to była bardzo ciemna. Ale czysto było tam bardzo, w tej kuchni to chyba Pani Władzia tak pilnowała. Pewnie ona im gotowała, nie wiem czy im sprzątała, ale myślę, że tak. Jak tam były nawet cztery pokoje, to ileż to dla jednej kobiety, to jest żadna sprawa, [zwłaszcza] jak jeszcze zaopatrzenie jej przywieźli. Nic nie wiem o innych majątkach wiem, że takie były, ale ten był blisko i po prostu mieliśmy kontakt, biegałam tam. [Pannę Olę] córkę dziedzica widziałam kilka razy, ponieważ przychodziła do mojej babci na takie pogawędki, a kiedyś, pamiętam, że moja babcia jakieś ziemniaki dla panny Oli dała z ogrodu. W ogrodzie to się wcześniej sadi i rośnie prędzej, jak na polu. Był sad i maliny obok tego sadu. Sad nie taki, jak teraz mają ludzie, ale drzewa owocowe na pewno były. Na skarpie w stronę tej uliczki, która prowadzi do ogródków działkowych, tam były drzewa owocowe. Bo ogrodu jako takiego, żeby tam pietruszka, marchewka była siana, to ja nie kojarzę. Pewnie była, ale ja tego nie kojarzę. Pola normalnie były obsiane z tym, że głównie to były zboża i buraki. Tymi miedzami myśmy sobie chodzili między zbożami. Nikt nas nie wyganiał, nikt nam nie zabraniał, mogliśmy sobie tam chodzić. A jak ktoś by się pokręcił koło tego dworku to też nie sądzę, żeby tam ktoś dzieci [przeganiał]. Starsi nie byli nami zainteresowani. Kto pracował w tym folwarku, to miał zajęcie, był cały czas gdzieś tam w gospodarstwie. Bo rodziców to w ciągu dnia ja nie widziałam, żeby oni tam gdzieś przebywali. Babcia tej mojej koleżanki to się koło domu kręciła, coś gotowała, coś szykowała, ale jak krowy z pastwiska pędzili to te kobiety wybiegały jak na rozkaz. Wybiegały wszystkie i każda łapała za wiadro, żeby tę krowę napoić, to się działo przy tej studni.

7. Historia rodziny Mroczkowskich i Drzymulskich

Postanowiłam zainteresować się naszą genealogią. Przeszłam na emeryturę i uważałam, że mam trochę czasu, który mogę jakoś tak konstruktywnie zagospodarować, więc postanowiłam, że będę zbierała [rodzinne historie]. Najpierw pozapisywałam sobie wszystko co pamiętała moja mama i co ja pamiętałam z opowiadań mojej siostry i mojej babci. Siostra pomagała mi w kwestii kuzynów, w kwestii powiązań. Zaczęłam zbierać dokumenty. Wymyśliłam, żeby zacząć od ślubu moich dziadków. Wiedziałam, w którym to było roku, więc poszłam do archiwum i poprosiłam panią, żeby mi dostarczyła te księgi parafialne. Księgi parafialne, chyba co sto lat przekazuje się do archiwum, te dokumenty spisane w czasie chrztu, pogrzebu i ślubu. Dziadek podobno miał osiemnaście lat jak brał ślub, więc odliczyłam tak osiemnaście lat do tyłu i poprosiłam o przygotowanie dokumentów,

ksiąg tak z tolerancją dwa [lata] do przodu, dwa do tyłu. Przeszukiwałam wszystkie te dokumenty i tak doszłam do tysiąc osiemset któregoś roku, który potwierdził, że pra pra [dziadek] Mroczkowski Franciszek chyba urodzony w 1767 roku wydawał córkę za męża. To już było później, w tysiąc osiemset którymś tam, nastym roku, nie pamiętam. I na tej podstawie sporządziłam drzewo genealogiczne. Chciałam mieć potwierdzenie, żeby mi nikt nie zarzucił, że sobie tu jakieś fantazje wpisuję, więc starałam się jak najwięcej tych dokumentów znaleźć. Przy okazji bardzo dużo rzeczy się dowiedziałam. Ustaliłam, że rodzina, rodzina mojej babci, Mroczkowscy już od trzystu lat mieszkali na Kalinowszczyźnie. Z tego co wiem, były nawet tak zwane ogrody Mroczkowskich, sięgające do ulicy Augustiańskiej, która prowadziła od ulicy Kalinowszczyzna na cmentarz. Mroczkowscy mieli jeszcze ogrody tam w stronę Sierakowszczyzny i Białkowskiej Góry. Ostatnim właścicielem był brat mojej babci, Seweryn Mroczkowski, który miał swój dom na Białkowskiej Górze. Z tym, że on mieszkał przy młynach, w których pracował. Pracował w młynie Krauzego, potem w czasie okupacji pracował w młynie „Piaski” ten młyn przy dworcu był. W miarę rozwoju rodzin te ogrody się dzieliły. Z rodziną Mroczkowskich są związani Kellarowie, Gorajscy, Zabłoccy. Te rodziny osiadły wszystkie na Kalinowszczyźnie i wszyscy ci ludzie mieli swoje ogrody. Mroczkowscy to w ogóle byli młynarze –pradziadek, którego portret tu wisi, był dzierżawcą młynów. Ale wszyscy się tu urodzili, związali się z Kalinowszczyzną. Nigdy mi nie było wstyd, że ja pochodzę z Kalinowszczyzny, chociaż [mówiło się]: „Kalina to granda” Ale nigdy mnie tu nikt nie zaczepiał, nigdy mi nikt nie ubliżał. Przeżyliśmy różne koleje losu. Bratanek mojej babci został zamordowany przez Niemców, był zabrany do Oświęcimia, potem zginął w Berghalde, roku czasu chyba nie wytrzymał. Opowiadała mi nie tak dawno jego wnuczka, jak pisał listy do swojej żony: „Sprzedaj co masz, żebyś mnie stąd zabrała” Babcia im tak opowiadała, jak dostała potem dokument, że umarł. Pewnie tak jak większość, poszedł kominem. Rodzina Mroczkowskich spokrewniła się z rodziną Drzymulskich. Drzymulscy to z kolei byli stolarze. Dziadek miał też swój warsztat, ale pradziadek miał i warsztat swój, i oprócz tego [sklep] meblowy w Lublinie. Z tego co mi opowiadała babcia, to tutaj –róg Świętoduskiej i Krakowskiego Przedmieścia miał swój [sklep], a gdzie warsztat, to tego babcia mi nie mówiła. Ale to byli ludzie dosyć majątni. Pradziadek jeszcze miał taką fantazję. Jak mu zmarła żona, z którą jest pochowany na Lipowej, to postanowił się [powtórnie] ożenić. Ponieważ środki lokomocji były takie, jakie były, to z Lublina dorożką jechał do panny, znaczy do swojej wybranki. Taką miał fantazję. Tam było sporo dzieci, ale już nie z drugiego małżeństwa. Cioteczna babcia opowiadała, że [macocha] tak ją ciągnęła za włosy, jak jej zaplatała warkocze. Ale to była macocha, żeby ona nie wiem jak miodem smarowała to nigdy nie będzie matką, prawda? Liczna była ta rodzina Mroczkowskich, a z Drzymulskimi związali się w taki sposób. [W jednej rodzinie] był [Seweryn] brat mojej babci Mroczkowskiej i babcia [Konstancja] Mroczkowska, a w drugiej rodzinie była Teofila Drzymulska i Ludwik Drzymulski. I się pozamieniali:

Ludwik sobie wziął Konstancję, a Seweryn wziął sobie Teofilę. I tak teraz tam leżą koło siebie na Kalinowszczyźnie na cmentarzu. Ta rodzina bardzo się rozrosła, była bardzo liczna. Babcia opowiadała taką historię, którą, uważam, trzeba by było upamiętnić. Ktoś przyniósł do renowacji stary mebel. Dziadek rozkręcił go i znalazł tam w jakiejś skryteczce pierścionek. Zawiadamia właściciela, że znalazł pierścionek. Proszę sobie wyobrazić reakcję tego właściciela. Mówi: „Panie Drzymulski, ja muszę odnaleźć służącą, która w naszym domu pracowała, bo ja ją zwolniłem posądzając o kradzież tego pierścionka. Muszę ją odnaleźć i przeprosić” Tak opowiadała mi babcia, która to słyszała –jakie było morale, jak ci ludzie byli wychowani. To jest historia, którą trzeba było opowiedzieć. W czasie [wojny] Niemcy nas ograbiali. Ograbiali nas, ograbiali szkoły z metalowych przedmiotów, dosłownie klamki zabierali. W kościołach zabierali dzwony i wszystko co się nadawało do przetopienia. Zabrali nam również dzwon. W kościele była taka zwana sygnaturka i dzwon główny na dzwonnicy. Po wyzwoleniu ksiądz ogłosił zbiórkę rzeczy metalowych, żeby odlać dzwon. Moja babcia stwierdziła, że wszystko co ma jakąś wartość trzeba oddać. Oddała świeczniki, lichtarze, oddała dwa samowary i taki ogromny z odlewu kocioł mosiężny do gotowania bielizny –kiedyś nie było pralek, więc żeby bieliznę wydezynfekować, to trzeba ją było gotować. Ten kocioł ogromny babcia też oddała. Więc teraz jak dzwoni ten dzwon to mi się babcia moja przypomina, że nie myślała o tym, czy potrzebne będzie czy nie, ale dzwon musiał być w kościele. Tak się moja babcia zaangażowała.

8. Dom rodzinny

Dom rodzinny wybudowali dziadek z babcią. To był taki dom z białego kamienia, tak jak wiele budynków na Kalinowszczyźnie. Tam był duży pokój z kuchnią po jednej stronie, a po drugiej stronie troszkę mniejsze mieszkanie, gdzie mieszkał brat mojej mamy z bratową i dwoje ich dzieci. Nas było troje. Ciężki był żywot babci, wydaje mi się, bo musiała nas wychowywać. Taki los miałam, że mama musiała spełniać funkcję ojca, więc mama pracowała, a babcia się zajmowała i ogrodem i nami. Naprawdę jej było ciężko, ale nigdy nam tego nie pokazała, a ja zresztą byłam babci pupilką, więc nigdy nie będę o babci mówiła źle. To była babcia Konstancja. Mało znałam rodzinę mojego ojca.

9. Lublin czasów okupacji

Przed wojną nie chodziłam do miasta, ale pamiętam te czasy. Tak się mówiło: do miasta. Chodziło się ulicą, nie tak jak teraz Kalinowszczyzną między Kierkudem a Białkowską Górą. Była tu ulica, ale ona była właściwie tylko uczęszczana przez pojazdy. Piechotą to się chodziło ulicą Sienną między Kirkutem i takim domem koło zamku. Koło zamku, pamiętam stał piętrowy dom, taki samotny. Szło się do Bramy teraz obecnie Grodzkiej, kiedyś się mówiło Brama Żydowska. To był taka nazwa. Nie było takiego połączenia z zamkiem, szło się tylko przez Stare Miasto i od razu się

było w mieście. Ja to pamiętam już z czasów okupacji, z tym, że to było niebezpieczne. Moje rodzeństwo miało takie przeżycia. Wracali ze szkoły, a na zamku w czasie okupacji było więzienie. Podobno tam włosowcy mieli strażę, taka była powszechna opinia, że to są włosowcy, żołnierze Własowa. No i tak bawili się ci żołnierze, że potrafili strzelać jak słyszeli gwar jakiś. Do dzieci to oni oczywiście nie strzelali, ale robili sobie zabawę tak, że tam niebezpiecznie było [chodzić]. Młodzież gromadziła się, jak wracała ze szkoły, żeby jakoś tak razem iść, żeby nie iść samotnie. Napadów jako takich nie pamiętam, żeby były w czasie okupacji. Choć właśnie sobie przypominam, że był napad u naszych sąsiadów. Naszymi sąsiadami byli również państwo Franaszczukowie, czy Franaszczuki [jak się mówiło]. Bandyci napadli na dom Franaszczuków i na tego ekonoma z majątku z czworaków. Poturbowali ich, ale z tego co potem mówili, to byli synowie gospodarzy gdzieś tam z pobliskich wiosek. Ale takiego rozboju, to ja nie pamiętam, nikt mi nie opowiadał. A wracając do tej drogi przy Kirkucie, to w czasie okupacji w samym Kirkucie były wybudowane bunkry. One są w tej chwili zamurowane, taka świeża cegła tam jest. One były ogromne, te bunkry, szalowane takimi belkami. Chłopcy tam biegali, ale ja tam nigdy nie wchodziłam, bo tam ciemno było, to się bałam. Nie wiem do jakich celów te bunkry były budowane przez Niemców.

10. Koło naszego domu Niemcy prowadzili Żydów do pracy

Koło naszego domu w czasie okupacji Niemcy prowadzili Żydów do pracy. Pewnie z Majdanka. Całe takie gromady ludzi szły tutaj. Był tu tak zwany osadnik miejski wybudowany właśnie na terenie w pobliżu łąk Koryznów. Wszystkie ścieki z Lublina tam spływały. Było to zbudowane przez fabrykę, chyba szwedzką, zwaną Ulen. Jak tam się biegano to się mówiło, że się idzie koło Ulenu. To tam prowadzili tych Żydów. Znow wracam do mojej babci. To byli nędzni ludzie. I jak myśmy wiedzieli, że ich tam będą prowadzić to babcia urywała cebule ze szczypiorem i my z siostrą moją kładliśmy je w taką wysoką trawę, tak zaplataliśmy żeby zostawić tym ludziom, żeby sobie mogli chociaż wziąć tę cebulę. Kilka razy to robiliśmy.

11. Początki edukacji, Szkoła Podstawowa numer 10

Na Starym Mieście jest ulica Złota, która prowadzi do Dominikanów. Tam była szkoła krawiecka pani Gogaczowej, gdzie w czasie okupacji uczennicą była moja siostra. Brat z kolei chodził do jedynej szkoły [działającej] w czasie okupacji, do szkoły Vetterów. Jedynie tę szkołę Niemcy pozwalali utrzymać chyba ze względu na pokrewieństwo tych Vetterów. Przed wojną nie chodziłam do żadnej szkoły, ale już w czasie okupacji babcia zaprowadziła mnie do szkoły nr 10. Po wybuchu wojny, szkoła nr 10 była zniszczona, zbombardowana. Fragment tej szkoły jest jeszcze tam w dalszym ciągu przy ulicy Tatarskiej. Zostałam zapisana do szkoły, ale ponieważ budynek był zniszczony, więc naukę rozpoczęłam w budynku Salezjanów. Tam na troszkę, na jakiś czas nas przyjęli, tam się uczyłam. Poszłam od razu do drugiej

klasy, bo przy moim starszym rodzeństwie byłam bardzo wykształcona. Później, nie wiem w której klasie, ale potem znów nas przenieśli i uczyłam się w tym budynku z wmurowanym krzyżem. Przed wojną tam była apteka. Z jednej strony mieszkali państwo Sobolscy, a już jak ja zaczęłam swoją edukację to tam była klasa nasza, jedna klasa szkoły nr 10. Również w parafii Świętej Agnieszki jedna klasa szkoły nr 10 miała swoje pomieszczenie, tam też chodziłam. Gdzie tylko było jakieś miejsce, kto pozwalał nam się uczyć, to tam żeśmy się uczyli. Warunki były bardzo ciężkie, bo w którejś z klas odmroziłam sobie ręce, tak było zimno po prostu. Jak ktoś miał węgiel to przyniósł do pieca, żeby napalić, ale kto tam miał w czasie okupacji węgiel. Nie było tak wesoło. Zresztą, historię szkół opisałam w tych moich wspomnieniach z Kaliny wydanych z okazji jubileuszu Salezjanów. [Opisałam] dzieje szkół, kto był nauczycielem, nawet są tam zdjęcia ze szkoły nr 10.

Data i miejsce nagrania	2015-10-29
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Transkrypcja	Magdalena Marzec
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"